

LITERATURA, SZTUKA, KRYTYKA, WYCHOWANIE, GOSPODARSTWO, PRZEMYSŁ, SPRAWY BIEŻĄCE, POLITYKA.

Nr 17—591.

Redakcyja: Chmielna, № 26.

Warszawa, 29 kwietnia 1887 r.

17 kwietnia 1887 r.

Tom XIII.



BOHDAN ZALESKI.

Rysunek W. Marcinkowskiego, podług własnej rzeźby.

## DZIECKO KUPIONE.

POWIEŚĆ

PRZEZ AUTORKE „LORDA ERLISTOUN”

przekład z angielskiego J. S.

(Dalszy ciąg.)

Ta krótka rozmowa odrazu postawiła ich na stopie wojennéj; piękny, elegancki kapitan Trevena przekonał się, że położenie wielkiéj uległo zmianie, że zamiast łatwowiernego brata, będzie miał do czynienia z energiczną, bystrą i źle względem niego usposobioną bratową.

Gdyby był przyszedł obdarty i żałujący, podobnie jak syn marnotrawny z Biblii, tkliwe serce Zuzanny byłoby zmiękło niewątpliwie, ale na widok tego zuchwałego obłudnika, który wiecznie jedną powtarzał piosenkę, zawsze żądał pieniędzy, tylko pieniędzy, ogarnął ją wstręt i oburzenie.

— Żałuję bardzo, że nie możemy ci dopomóc, ale dochody nasze wystarczają jedynie na potrzeby rodziny — rzekła sucho — zresztą brat twój czynił zawsze więcej dla ciebie niż mógł, raz musi się to skończyć.

— Zuzanna ma słusność, Halbercie — odezwał się profesor, nabierając odwagi przy żonie — mówiłem to samo.

— Na tę noc możemy ci ofiarować gościnność — ciągnęła dalej Zuzanna — a potem najlepiej zrobisz, jeżeli wrócisz do Australii, gdzie masz rodzinę i weźmiesz się do pracy.

— Szlachciec miałby pracować! — zaśmiał się kapitan — nie spodziewaj się tego po mnie, moja droga bratowo. Nigdy nie pracowałem i pracować nie będę.

— Wierzę ci — odrzekła Zuzanna.

Chciała dodać, że to jedyna rzecz, w której mu wierzy, bo Halbert był takim skończonym kłamcą, że pani Trevena wątpiła nawet o istnieniu jego żony i dzieci, uważając to za bajkę wymyśloną, dla wyłudzenia pieniędzy od brata.

— Nie potrzebuję wcale pracować — mówił kapitan lekkim tonem — moja żona jest bardzo bogatą. Ojciec jój zrobił majątek na poszukiwaniu złota i kocha ją nad życie.

— W takim razie dziwię się, że potrzebujesz pieniędzy.

— Szlachciec zawsze potrzebuje pieniędzy, zresztą chwilowo tylko jestem w kłopotcie. Skoro wrócę do Australii, z przyjemnością odeślę Augustowi tę sumkę.

W téj chwili w ogrodzie rozległ się srebrzysty śmiech dziecka.

— Czyje to dziecko? — zapytał kapitan.

— Moje — pewnym głosem odrzekła Zuzanna.

— August mi mówił, że nie macie dzieci.

— Powiedział prawdę, to jest nasz przybrany syn.

— I zapewne dziedzic waszego mienia?

— Niewątpliwie.

Kapitan Trevena zmarszczył brwi i rozsmiał się gniewnie.

— A to miła dla mnie niespodzianka! — zawołał ostro — przyjeżdżam do kraju po tylu latach i zastaję w gnieździe rodzinném jakiegoś przybłędę, czy podrzutka, który umarłby jak pies pod płotem, gdyby się nad nim nie zlitowała szanowna moja bratowa. Winszuję ci, Augustcie, niemały to zaszczyt być ojcem syna jakiegóż żebraczki.

— Bóg nam zabrał nasze dziecię, a dał to w zamian — rzekła Zuzanna, hamując się z trudnością — na stare lata będziemy mieli z niego pociechę.

— Tak, ale tymczasem wychowanie dziecka jest rzeczą dość kosztowną i nie pozwala wam wspierać bliższych i potrzebniejszych. Zdaje mi się Augustcie, że twoja rodzina ma większe prawo do twojej pomocy niż obcy przybłęda. Nie zapominaj o związkach krwi, jakie nas łączą!

Biedny profesor patrzył na nich oboje smutny, przełknięty, bezsilny wobec zarzutów i wymówek starszego brata. Jak zawsze, w odpowiedzi wyręczyła go Zuzanna.

— Halbercie Trevena — rzekła, mierząc go płonącemi z gniewu oczyma — ty co byłeś wiecznie hańbą i zakałą rodziny,

co przez lat tyle wyzyskiwałeś bezwstydnie młodszego brata, ty śmiesz się powoływać na związki krwi, na swoje prawa?

— Uspokój się, moja droga Zuzanno! — prosił udęczony profesor — ona ma słusność, Halbercie, dochody nasze szczupłe, a ty przecież ożeniłeś się bogato.

Mówił łagodnie, usprawiedliwiając się, że nic nie może dla brata uczynić, ale cierpliwość Zuzanny była już wyczerpaną.

— Słuchaj mię, kapitanie — rzekła stanowczo — jestem panią tego domu i z moją wolą ani grosza od nas nie dostaniesz.

— Lubię taką szczerość! — szyderczo zawołał Halbert, bawiąc się laską w srebro okutą — mogę sobie powinszować kochającego brata i przywiązaną bratową. Istotnie lepiej zrobić, jeżeli zaraz sobie pójdę; żegnaj cię, Augustcie, może nigdy już się nie zobaczymy.

Profesor spojrział błagalnie na żonę, a takim smutkiem, tchnęły jego oczy, że Zuzanna ulitowała się nad nim. Krwem nie woda, zawsze to byli bracia, synowie jednéj i téj samej matki wzrosli pod jednym dachem.

— Zostań do jutra — rzekła łagodnie — nie możemy ci dopomóc, ale nie powinniśmy rozstawać się w gniewie i niechęci. A pozdrów od nas żonę swoją i syna, życzę im szczęścia i powodzenia; od ciebie to w części zależy, Halbercie, jeszcze nie jest zapóźno.

Na chwilę może cię żalu przemknął po twarzy tego człowieka, który wszystkich tylko unieszczęśliwiać umiał, wnet jednakże zły pierwiastek wziął górę i urągliwy uśmiech pojawił się na jego ustach.

— Naturalnie, że nie jest zapóźno, moja droga bratowo; ja przepadam za domem... jeżeli w nim jestem, i uwielbiam moją żonę... jeżeli ją widzę; zwykle bowiem ojciec zabiera ją do siebie. Stary milioner nie może rozstać się ze swoją jedynaczką.

Zuzanna odwróciła się i westchnęła nad losem nieszczęśliwej kobiety, którą ojciec musiał zabierać przed tym człowiekiem. W téj chwili drobne rączki dziecięce zastukały do drzwi i srebrny głosik zaczął domagać się mamy.

— Pożegnaj cię teraz, Halbercie — rzekła pani Trevena, wstając — zapewne będziesz chciał porozmawiać z Augustem. Obiad u nas o drugie, żyjemy po wiejsku, jak widzisz.

Drzwi nagle się otworzyły i stanęło w nich śliczne złoto-włose chłopię o rumianych policzkach i lazurowych oczach, istny obraz zdrowia, wdzięku i niewinności.

— Ach! oto mały przybłęda — rzekł Halbert — ładny dzieciak co prawda. Chodź tu bliżej, mały.

Zanim jednak zdążył wziąć dziecko na ręce, Zuzanna pochwyciła je w objęcia; z téj bezpieczniejszej warowni malec mógł przyjrzeć się gościowi. Dzieci niekiedy dziwne mają instynkta; mały Arturek niczém nie dał się przynęcić kapitanowi i kiedy ten chciał go pocałować, chłopiec o mało się nie rozkrzyczał. Matka w samą porę wyniosła go z pokoju, zauważyła jednak spojrzenie pełne nienawiści, jakie nań rzucił Halbert, i z dreszczem trwogi przytuliła go do siebie. Biedne dziecię, od kolebki otoczone nieprzyjaciołmi, z których najgorszym była rodzona jego matka — zyskało teraz jednego wroga więcej.

Zuzanna z niepokojem myślała o rozmowie między braćmi: starszy był tak przebiegły i obłudny, tak zręcznie umiał pochlebiać młodszemu, rozczulić go i wyprowadzić w pole, że zawsze uzyskał od niego wszystko co chciał.

— Biedny August! — rzekła do siebie i całując okrągłą buzię Arturka, dodała — nie bój się synku, dopóki twoja matka żyje, nie da cię skrzywdzić nikomu.

Była przy jego obiedzie i uśmiechała się słodko do miłego chłopczyka, który z swojej porcy nakarmił kotka i pieska, a w końcu chciał nawet ofiarować kawałek mięsa drewnianemu barankowi z kręconém runem. Dziecko od najmłodszych lat zdradzało szlachetne instynkta; Zuzanna widząc to, cieszyła się i dziękowała Bogu, że nie odziedziczył przewrotnego charakteru matki. Była to największa jój troska, która nieraz sen spędzała z powiek; wierzyła w prawo dziedziczości i obawiała się, czy w dziecku nie ujawnią się kiedy ze skłonności rodziców.

Zato mały Arturek nie troszczył się ani o przyszłość, ani o przeszłość, szczęśliwy jak król w swoim pięknym, słone-

cznym pokoju, gdzie mógł się bawić z ulubionym psem i białym kotkiem. Wszyscy troje żyli w największej zgodzie i nieraz Zuzanna zastawała ich uspiomych razem na dywanie; dziecko miało główkę wspartą na kudłatą szyi faworyta, a w objęciach trzymało kotka.

Chłopiec wzrastał i rozwijał się w tej atmosferze szczęścia i miłości, stając się coraz droższym sercu przybraną matki. Od kolebki przyzwyczajony do posłuszeństwa, greczny był i dobry, a jeżeli czasem się rozplakał, to tylko wówczas, kiedy „mama” odchodziła od niego. Chwytał ją wtedy za suknie i nie chciał puścić, prosząc, żeby została przy nim.

— Mama musi iść, mój najdroższy, ale wróci niedługo, zaraz po obiedzie — tłumaczyła mu Zuzanna.

Malec wiedział, że może polegać na obietnicy matki i choć niechętnie, puszczał jednak jej suknie i szedł się bawić.

I tym razem niełatwo jej przyszło wymknąć się z dziecinnego pokoju. Uspokoiwszy wreszcie Arturka, poszła przebrać się do obiadu, pewna, że bracia chodzą tymczasem po ogrodzie; August był tak dumny ze swoich drzew i kwiatów, że każdego gościa prowadził zaraz do nich, pokazując barwne klomby balsamin i auryków, pyszne zielone trawniki obsadzone sztampowymi różami, rumiane brzoskwinie i złociste morele dojrzewające na słońcu. Tym razem jednak w ogrodzie pusto było i cicho, nikt nie korzystał z zapachu kwiatów, ani z miłego cienia lip i dębów. Zuzanna weszła do gabinetu i zastała męża samego.

— Halbert wyszedł, ale obiecał wrócić na obiad — rzekł profesor — dziś jeszcze musi jechać do Londynu. Bądź wyrozumiałą dla niego, moja droga, on chce się poprawić.

— Oby tak było! — odrzekła, ujmując dłoń męża, ale w tej chwili widok otwartego biurka zbudził jej podejrzenia.

— Dlaczego twoje biurko jest otwarte, Auguście? Pozwól mi je zamknąć.

— Widzisz... Halbert istotnie nie miał ani grosza przy duszy; on mi odda tę sumkę, jak tylko wróci do Australii.

— Dałeś mu więc pieniędzy?

— Niewiele, moja droga, tylko dwadzieścia funtów.

— Miałeś dwadzieścia pięć wszystkiego, a procent dostaniemy za dwa miesiące dopiero.

Nic więcej nie powiedziała, choć uczuła bolesne ściśnięcie serca. Zawsze więc to samo się powtarzało, zawsze starszy brat, lekkomyślny marnotrawca, potrafił obedrzeć poczciwego lecz łatwowiernego Augusta. Nie mogła nawet gniewać się na męża; cóż on winien, że Bóg mu dał gołębie serce i wspaniałomyślną duszę?

— Nie wiedziałem, że mamy tak mało pieniędzy — usprawiedliwiał się zmartwiony profesor — poproszę Halberta, żeby zaraz odesłał, skoro powróci do Australii.

— On tu już nie przyjdzie — z goryczą rzekła Zuzanna i miała słuszną rację, bo kapitan nie pojawił się wcale. Przez długie lata żadnej od niego nie było wiadomości.

#### IV.

„Szczęśliwym jest naród, który nie ma historii”, to samo można powiedzieć o rodzinie, której los oszczędza nadzwyczajnych wydarzeń i prób ciężkich. Życie w Tawton Magua długo płynęło spokojne, wolne od trosk i nieszczęść; były w nim czasem drobne kolce i kłopoty, ale państwo Trevena znosili je cierpliwie, pamiętni tego, co dawniej przeszli i przecierpieli. Dziecko było tym słonecznym promieniem, co rozświetlał i rozgrzewał ich życie; w nim Zuzanna złożyła wszystkie swe nadzieje i dziwiła się nieraz, że mogła dawniej żyć bez niego.

Jedna tylko trwoga nawiedzała ją czasem, czy wyrodna matka nie zatęskni za swoim porzuconym skarbem i nie rozpocznie poszukiwań, następstwem których będzie utrata Arturka. Z bijącym sercem czytała w dziennikach historie dzieci porwanych przez nieznaną złoć i drżała z niepokoju o ukochanego chłopca. Raz zabłąkał się w lasku wraz z swoją piastunką i wrócił po trzech godzinach nieobecności rozrzmieniony, zdyszany, z pełnemi garściami kwiatów, które śmiejąc się rzucił na kolana matki. Biedna Zuzanna śmiertelnie przez ten czas przeżyła męczarnie, biegała po całej wsi,

rozpytywała wszystkich o dziecko i, nie znalazłszy go, padła zrozpaczona na ławkę przed domem. Tak ją zastał Arturek, który od razu skoczył jej na szyję; tak ją zastał mąż i przeraził się na widok jej twarzy bladą, zgnęwaną i zalaną łzami.

— Sama tworzysz sobie zmartwienia — upominał ją profesor — dzieci nikt teraz nie kradnie; Arturek jest dobrą i miłą osobą, ale nie dla wszystkich ma taką wartość jak dla ciebie.

Zuzanna rozśmiała się przez łzy i przyznała, że była bardzo nedorzeczną, jednakże nie pozwoliła odtąd Manecie wydalać się poza obręb wsi lub ogrodu i poleciła jej nie odpowiadać na pytania dotyczące się chłopca.

Szczęśliwe to były lata tak dla niej jak dla Arturka, który z wiekiem stawał się coraz to rozkoszniejszym i z ciekawością właściwą dzieciom rozpytywał o wszystko, co go otaczało. Zuzanna nigdy nie pozostawiła go bez odpowiedzi; rozwijając starannie umysł i serce swego syna, wcześniej wpajała w tę młodzieńczą duszyczkę zasady cnoty i honoru. Nieraz jednakże pytania dziecka wprawiały ją w niemały kłopot; zmuszona przyznać się do nieświadomości, mówiła szczerze, że nie wie.

— Powinnaś wiedzieć, mamo, poważnie odpowiadał chłopczyca, i pani Trevena rada nie rada szperała w książkach, natężyła umysł, żeby zadowolić ciekawość sześciolatniego malca.

— Chciałabym, żeby doktor Franklin nas widział — mówiła często do męża, który coraz więcej się przywiązywał do sprytnego, szczebiotliwego chłopca, ale zacny amerykańczyk o sobie nie dawał wiadomości. Pisywał z początku raz na rok, dowiadując się o zdrowie swego chrzestnego syna, ale potem listy ustały, czemu nawet państwo Trevena się nie dziwili.

— Może już nie żyje — mawiała Zuzanna — i mój drogi chłopiec ma jednego przyjaciela mniej na świecie.

Na brak przyjaciół Arturek nie mógł jednak narzekać; wszyscy go kochali dla jego piękności i sprytu, wszyscy psuli, prócz tej, która kochała go najwięcej, kochała mądrze i prawdziwie. Miłość nie wyklucza stanowczości i małe chłopię od kolebki wdrożone do posłuszeństwa wiedziało, że skoro matka raz powie „nie”, na nic się już nie zdadzą łzy, prośby i dąsy. Samowolny z natury, nieco uparty i psotny, jak wszystkie niemal dzieci, Arturek stawał się miękkim jak wosk w rękę swojej matki, i dlatego też, mimo swęj żywości i figłów, nie naprzykrzył się i nie dokuczył nikomu.

Mały napozór wypadek nadługo zaniepokoił Zuzannę i wzniecił w jej sercu tysiączne na przyszłość obawy. Arturek przybiegł raz do niej z zakrwawionym noskiem i podrapaną twarzą, drżący z gniewu i uniesienia; bawił się w ogrodzie z synkiem ogrodnika, nieco starszym od siebie i zawsze dotąd panowała między nimi zgoda.

— Co ci się stało, mój drogi chłopcze? — troskliwie zapytała pani Trevena — Bob powinien być uważał na ciebie.

— Nigdy już nie będę się bawił z Bobem! Nienawidzę Boba! — wołał rozjątrzony malec, zaciskając drobne pięści.

— Pobiełeś się z nim? Kto zaczął? — pytała zaniepokojona matka.

— Ja. Bob skłamał, ale zapłaci mi za to! Jutro znów go wybije! — krzyczał Arturek, trzęsąc się ze złości.

Zuzanna nie dopytywała się więcej, lecz przedewszystkiem zajęła się opatrzeniem rany i uspokojeniem chłopca; wzięwszy go potem na kolana, upieściła, ucałowała i, widząc że nieco ochłonął z rozdrażnienia, zapytała o przyczynę sporu.

— Ale Arturek odwrócił głowę i, rumieniąc się, wzbraniał się wyznać dlaczego pobił Boba.

Tkliwie nalegania matki odniosły jednak skutek i malec, zanosząc się od płaczu, zawołał przerywanym głosem:

— Bob skłamał... powiedział, że tata nie jest moim ojcem, a ty mamusia, najdroższa moja mamusia... nie jesteś moją matką...

Słowa te jak ostry grot przeszły serce Zuzanny. Dawno już postanowiła wyznać mu prawdę, ale czekała z tym aż chłopiec podrośnie i będzie mógł zrozumieć różnicę między przybranym a rodzonym dzieckiem; teraz nadeszła chwila, kiedy nie można było dłużej odwlekać — dzielna kobieta, po chwili wahania, odważnie przystąpiła do rzeczy.

— Przykró mi, żeś wybił Boba — rzekła, gładząc złote włoski Arturka — on powiedział prawdę.

Chłopiec wpatrzył się w nią przerażonymi oczyma.

— Och! nie mam, nie! — wołał, tuląc się do niej — ja jestem twoim synem...

— Tak, mój jedyny, ale nie jesteś moim rodzonym, tylko przybranym synem.

— Cóż to znaczy?

— Nikt cię nie kochał, nikt nie dbał o ciebie, ale ja cię pokochałam i wzięłam, żebyś był moim synkiem.

— Jesteś więc moją matką — rzekło chłopię z dziecięcą logiką — bo nikt mię więcej od ciebie nie kocha.

— Nikt! nikt! — zawołała przyciskając go do swego serca, prawdziwie matczyne serca. Ten który powiedział do Maryi: „Matko, oto twój syn”, a do Jana: „Synu, oto twoja matka”, uznaje i poświęca takie związki.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Aresztowanie komisarsza francuzkiego przez niemców pod Plagny.—Zagadkowy charakter i doniosłość tej drobnej sprawy.—Sprzeczność rezultatów śledztw obustronnych.—Co na to książę Bismark.—Trafna rada „Timesa”.—Francuzka wersja o tym wypadku.—Listy Gautscha.—Wrażenie sprawy tej na Europie a w szczególności na Austrię.—Postanowienie austriackiej rady ministrów.—Rozprawy i uchwalenie projektu kościelno-politycznego na sejmie pruskim.

Cała Europa zajęta jest w tej chwili wypadkiem dziwnym, tajemniczym, nieodgadnionym, drobnym na pozór a jednak mogącym pociągnąć za sobą następstwa najwyższej doniosłości. W dniu 20 b. m. komisarsz francuzki pograniczny p. Schnaebell został na pograniczu, niedaleko stacyi kolejowej Plagny, aresztowany przez dwóch po cywilnemu ubranych agentów policyjnych niemieckich, a następnie osadzony w więzieniu w Metz, gdzie podziś dzień pozostaje. Tak wygląda fakt ten w najprostszym swojej osnowie. Nasuwają się atoli zaraz pytania: z czyjego polecenia nastąpiło aresztowanie przez agentów wyraźnie czyhających na p. Schnaebellé i czy aresztowanie nastąpiło na terytorium francuzkiem, czy na niemieckim?

Naturalnie, między Paryżem a Berlinem zawiązała się w tej chwili wymiana korespondencyj i obie strony zarządziły śledztwo na miejscu. Na nieszczęście — lubo tego spodziewać się należało — rezultaty śledztwa wypadły wprost przeciwnie; prokurator z Nancy przekonał się, iż aresztowania dokonano na ziemi francuzkiej, prokuratora z Metz mówi tylko o terytorium niemieckim. A właśnie ten punkt aresztowania stanowi główną okoliczność, gdyż ks. Bismark miał oświadczyć, że jeżeli się okaże, iż ajenci niemieccy pogwałcili terytorium francuzkie, każe natychmiast Schnaebellego uwolnić. W takim razie pozostałaby już tylko do załatwienia kwestya zadośćuczynienia, drażliwa w każdym razie, która jednak ułożyłaby się jakoś. Ale czy rząd niemiecki będzie mógł i zechce przyznać słusność śledztwu francuzkiemu? Czy w samym fakcie, który nie mógł być sprawą przypadkową, nie tkwi wyraźnie zamiar wywołania międzynarodowego zatargu?... Słusznie też podobno powiada angielski „Times”, że jeżeli rząd niemiecki nie chce, aby do niego przylgnął charakter strony wyzywającej i burzyciela pokoju powszechnego, powinien Schnaebellego czempredziej wypuścić. Czy jednak rada ta poskutkuje?...

Zajście w Plagny, przy odrobinie dobrej woli obustronnej, nie wywoła bezpośrednio wojny, ale pociągnie za sobą najwyższe napięcie wojenne. Prasa francuzka traktuje dotąd tę

sprawę nadspodziewanie spokojnie i wstrzemięźliwie, w niemieckiej widać niby chęć zmniejszenia jej doniosłości; ale rozwiązanie jej nie będzie mogło prawdopodobnie nastąpić bez pewnego upokorzenia dla jednej ze stron.

Wobec tego nabywa bardzo poważnego znaczenia następna wiadomość z Wiednia: z kredytów uchwalonych przez delegacyą na cele wojenne, 25 milionów guldenów przeznaczono na fundusz rezerwowy, który miał być użytym dopiero w razie ostatecznym, wobec groźnego niebezpieczeństwa; otóż z tego funduszu, na radzie ministrów przyzwaną przez samego Cesarza, podnieść pozwolono ministrowi wojny 9 milionów guldenów. Wprawdzie prasa półurzędowa, przeczuwając wrażenia, jakie postanowienie to wywoła, usiłuje o ile możności osłabić jego znaczenie, ale uchwała rady ministrów austriackiej, w połączeniu z pesymistycznymi poglądami prasy niezależnej na sprawę Schnaebellego, nie jest bez doniosłości.

Kilkodniowe trudy kanclerza niemieckiego, jakie poniósł stając w obronie swojego projektu kościelno-politycznego, uwieńczone nareszcie zostały pomyślnym rezultatem: izba deputowanych sejm pruski przyjęła w drugim czytaniu projekt w tej formie, w jakiej przyjęty został przez izbę panów. Przeciwni projektowi byli zachowawcy, postępowcy i część stronnictwa narodowo-liberalnego; polacy, na podobieństwo centrum, z góry oświadczyli przez usta dep. księdza Jażdżewskiego, iż głosować będą za projektem, stosując się do objawionego życzenia Stolicy Apostolskiej. Kanclerz, zabierając głos po kilka razy na każdym posiedzeniu, polemizował ze wszystkimi, głównie z Richterm i Virchowem, ale nie pominął i centrum, choć to nie stawało mu tym razem w drodze; przyznał mu pewne zasługi, ale zarzucał, że wcieliło w siebie antynarodowy żywioł welfowski.

Jednym z ważniejszych głosów deputowanych podczas rozpraw był głos dep. Hammersteina, domagający się dla kościoła ewangelickiego „który jest przecie panującym w Prusiech, takich przynajmniej swobód, jakie dzisiaj otrzymuje kościół katolicki”. Kanclerz odpowiedział niby pojednawczo, że w chwili kiedy zawiera pokój z jednym wyznaniem, nie myśli rozpoczynać kulturkampfu z drugim, ale zgromił Hammersteina, że wnioski tego rodzaju jak jego, w takiej chwili, narażają tylko pokój; że kanclerz jest także członkiem kościoła ewangelickiego i wie najlepiej, co temu kościołowi potrzeba. Położenie ewangelików w tym zasadniczo różni się od położenia katolików pruskich, że pierwsi mają widomą głowę swego kościoła, w swoim monarsze; ztąd inne potrzeby i stanowisko jednych i drugich.



614) ODPOWIEDŹ na pytanie: Czem jest sen dla zdrowia?

Życie jest kolejną działalnością i spoczynkiem, zużywaniem się i odnawianiem materji organicznej. Takie nawet organa jak serce, działające na pozór bez przerwy, ulegają temu samemu prawu ruchu i wytchnienia.

Ten odpoczynek systemu nerwowego wspólny jest wszystkim istotom organicznym, zaobserwowano go u niższych gatunków zwierzęcych a nawet u pewnych roślin; najcharakterystyczniej jednak objawia się u człowieka, którego sen zdaje się być funkcją samego mózgu.

Określenie istoty snu przedstawia te same trudności, co definicya znaczenia śmierci. Jeżeli śmierć jest ustaniem funkcyj życia, to sen możnaby nazwać zawieszeniem funkcyj stanu czuwającego; dokładniej jednak, jak samego życia, określić go nie podobna.

Po odcięciu głowy zabie, serce jej dobę a nawet dwie porusza się, nerwy i mięśnie dają się podrażniać; nie możemy powiedzieć, że serce i pewne mięśnie żaby żyć przestały, pomimo to żaba martwa jest najzupełniej. Tak samo zachowują się pewne mięśnie we śnie: pomimo pogrożeń w nim, we wnętrzu naszem dokonywają się pewne skomplikowane ruchy, od zewnątrz dostają się pewne wrażenia do mózgu, pewne jego części kombinują myśli, obrazy, słowem działalność wewnętrzną organów nie ustaje.

Każda istota uczuwa potrzebę snu i żyć bez niego nie może jak bez pokarmu. Jest on niezbędnym warunkiem wegetowania i odnawiania się materji organicznej. Ruch, uczucie, wrażenia zmysłowe, pobudzające w stanie czuwającym ducha do działania, zużywają organizm, odejmują mu ciepło i pierwiastki nie dające się zastąpić pokarmem i napojem. Ubytek ten sil jeden sen powrócić nam może: zawiesza bowiem uczucie i ruchy dowolne, zamyka niejako na klucz pracownią ducha i sprowadza organizm do funkcyj czysto fizjologicznych. Jest to jedyny dar dany nam przez Opatrzność bez pracy, którego wartość jednak praca nieskończenie podnosi.

## Z WARSZAWY.

Co będziemy robili w czerwcu?—Niespodzianka.—Wystawa inwentarza obok wystawy higienicznej.—Wystawa w jarmarczonym kubraku.—Jak p. M. Girdwoyń wyszedł na akwaryum.—Kongres rybacki.—Sielawy i pierniki.—Rzemieślnik prezydentem.—Herbem się nie chwalił a nie był demagogiem.—Uczczenie zasług oficyalisty.—Nobilitacja obywateli.—Zdrada dla posagu.—Łaskawość sąsiadów i opór plebana.—Romantyk pod dachem plebanii.—  
Józefa Prusiecka.

„A co będziemy robili w czerwcu?” pytaliśmy się towarzyszy, przechodząc koło placu Ujazdowskiego, na którym przez lat siedem wyrastały corocznie wystawy rolnicze i przemysłowe. „Będziemy oglądali mikroby” — odpowiedzieli, myśląc o wystawie higienicznej, ale żaden z nas ani się spodziewał, że obok mikrobów będzie można oglądać woły, konie i inne zdrowe stworzenia, że znowu w tym roku goście wiejscy z owocami swą pracę zawitają do Warszawy.

Tę miłą niespodziankę zawdzięczamy „Towarzystwu wyścigów konnych”, które mając na swém sumieniu totalizatora i sporą garść bankrutów, co chcieli dorównać magnatom, umie swoje grzechy łagodzić a wobec sądu potomności zasłoni się wystawami rolniczymi.

W tym roku jednak wystawa inwentarska nie wystąpi w dawniejszej szacie zbyt krowej lecz w najskromniejszym kubraczku; nie będzie ona popisem ani paradą lecz poprostu jarmarkiem, na którym kupcy i kupcowe targować się będą zawzięcie, dobijając ceny uderzaniem dłoń w dłoń i kończąc interes litkupem przy bufecie z czekoladą lub przy namiocie z piernikami, które wchodzi w modę nawet po aptekach. Z tej szarzej skromności warszawianie i warszawianki nie będą zadowoleni — nam potrzeba przedewszystkiem zabawy a więc baranów ze złoconemi rogami, dójek w krakowskich gorsetach, piesków z różowemi wstążeczkami, koni tańczących polki i walce... nam potrzeba pań wystrojonych podług najnowszej mody, panien bledziutkich jak lilie, panów rozbijających się nowemi ekwipażami... my ludzi i zwierzęta robocze, ogorzałe twarze i silne boki, tubalne głosy i grube ręce lekceważymy, jako rzeczy powszednie.

Dla mnie osobiście jarmark targowy na placu Ujazdowskim będzie stokroć cenniejszym popisem niż wielkie zeszłoroczne kawalkaty, pióropusze i inne maskarady — będę widział dzielnych gospodarzy i gospodynie, a nie mdłe panienki i udające pomyślność przezerne mamy; będę oglądał doskonały inwentarz roboczy, a nie paradyserów, których może warto wiecznie na jakim pejzażu, a po zgonie wypchać dla gabinetu ale nie podobna uważać za dowód pomyślności gospodarstw naszych. Więc kto ceni pracę jako żywioł dobroczynny, komu nie idzie o zaimprovizowanie komfortu, kto nie wstydy się przyznać, że żadnego zarobku gospodarstwa nasze dziś lekcewać nie powinny, kto jest naprawdę porządnym obywatelem — ten niech korzysta z pomyślnego rezultatu zabiegów Towarzystwa i przywiezie do Warszawy swoich wychowanków z obór, stajen, kurników... aby je najlepiej sprzedać. Jarmark podreperuje niejednego kasę, do której nawet Francya wyciąga rękę, podwyższywszy cło na zagraniczną więc i naszą pszenicę.

Hygieniści i gospodarze już się wzięli do stawiania płotów i budynków; z początku chcieli dwie wystawy połączyć w jedno, ale hygieniści zaoponowali i zgodzili się tylko na kilka furtek w płocie, który ich przedzieli od inwentarza roboczego. To i lepiej — bo będzie tyle niespodzianek ile kontrastów; po oględzinach grzybków zaraźliwych, pijawek, synopizmów, szpryc i okularów, bandaży i sztucznych zębów... po nasyceń się chorobami tém chętniej oglądać będziemy zdrowe woły, brykające cielęta, kury z wysokim sopranem, ludzi z których twarzy tryska samo zdrowie.

O ile wiemy, na wystawach p. M. Girdwoyń z rybami nie wystąpi; zasłużony nasz ichtiolog źle bardzo wyszedł na zeszłorocznym pawilonie rybackim, udekorowanym w skały podmorskie, zalany wodą i zarośniętym trzcina, więc już nie chce powtarzać tak kosztownych doświadczeń. Odrzuciwszy propozycją praktycznego człowieka, który radził mu akwaryum połączyć z restauracją, a to w ten sposób, aby każdy gość mógł sobie wybrać rybkę w basenie i kazać ją zaraz usmażyć a nastę-

pnie zjeść — p. M. Girdwoyń krząta się około zwołania kongresu rybaków do Warszawy. Kongresu takiego jeszcześmy w murach naszego grodu nie mieli, będzie więc nowość; znając energią i doświadczenie sz. inicjatora nie wątpię, że zjazd przyjdzie do skutku i rybołówstwo krajowe na nim dużo zyska.

O korzyściach z hodowli ryb bardzo wiele od lat kilku mówimy i piszemy ale najmniej jest uprawiana ta gałąź gospodarstwa przez naszych pisarzy rolniczych; najmniej wychodzi podręczników, najmniej artykułów a ryby po dawnemu są nadmiernie drogie — dostępne tylko dla ludzi zamożniejszych; biedniejsi jadają ryby śnięte, będące pokarmem najniezdrowszym, a na szczupaka co się rzuca patrzą tęskno, wzdychając, że życiem jego nie mogą zaspokoić swego apetytu. Przydałby się nawet organ poświęcony wyłącznie rybołówstwu a przynajmniej pisma rolnicze powinny otworzyć oddzielną rubrykę pod redakcją specjalisty, któryby notował wszelki postęp w tej gałęzi i rybołówstwo polskie połączył telefonem dziennikarskim z rybołówstwem obcym. Najwłaściwiej powinna sprzymierzyć się z rybactwem „Pszczola”, organ Muzeum pszczelniczego; chociaż pszczoła lata a ryba pływa, pszczoła wysysa kwiaty a ryba żyje rybą i tém, co w wodzie napotka — jednak pisma nasze powinny mieć praktyczność na celu; praktyczność ta zależy na tém, aby gospodarz wiejski, który musi się z każdym groszem rachować — znalazł w jednym piśmie kilka gałęzi specjalnych, traktowanych dostępnie a naukowo.

Za tém połączeniem pszczelnictwa z rybołówstwem przemawia oszczędność ekonomiczna i wdzięczność moja za prezenta z jeziora Trockiego i z Muzeum; z jeziora dostałem na próbę całą kopę pysznych sielaw a z Muzeum cztery pudełka pierników higienicznych. Sielawy chciałem zachować do czasu wystawy ale kucharka moja, dzielna naturalistka, ostrzegła, że po dwóch dniach będzie z niemi źle — więc usmażyć je kazałem, i jakim zaczął próbować a wnioski wyciągać, tak zjadłem jednym tchem pięćdziesiąt dziewięć — jedną zaś, najmniejszą wprawdzie ale najzgrabniejszą, zachowałem na wystawę, zamknąwszy ją w słoju.

Z opinią o piernikach higienicznych wstrzymuję się aż oceni je komitet wystawowy; zresztą nie miałem sposobności zachorować, aby środków leczniczo-miodowych na sobie doświadczyć, a do bohaterów à la Paweł Bert nie należę.

Wiadomo, że ten dzielny republikanin, nieustraszony podróznik ale równocześnie śmieszny fanatyk bezwyznaniowy, który swoim ateuszostwem pysznił się jak indyk koralem, kazał sobie zaszczerpieć osobę zebraną świeżo z chorego, aby przekonać kolegów uniwersyteckich, że ospa nie jest zaraźliwą. Takich poświęceń dla dobra bliźnich i nauki nie chcę podciągać pod kategorię próżności; tak głęboko czuję niedolę ludzką, tyle spotykam nieszczęść na każdym kroku, że widząc pomoc, ratunek, ulgę... chętnie zamykam oczy na pobudki z jakich się one zrodziły, głuchnę na przechwałki i błogosławię rękę, która często nie wiedząc co czyni — ociera łzy z oczu ludzkości. Nikt mi takiej pobłażliwości nie powinien wziąć za złe; pobłażając próżnym a pożytecznym, umiem nad nich wnieść ludzi, którzy szczerze dla społeczeństwa pracując, nie dbają o to czy ich sławią dzienniki, czy akademie obdarzają tytułami, co potomność doda do ich nazwiska.

Jednym z takich posagowych obywateli, rzadkich nietylko u nas, był ś. p. Wacław Dąbrowski, prezydent miasta Lwowa. Żywot tego człowieka ma w sobie jakąś woń amerykańską — nanizal on tyle czynów samodzielnych a uczciwych i mądrych, że wyliczenie ich byłoby dostateczną rekomendacją, aby Amerykanie wybrali go na naczelnika swego państwa. Wacław Dąbrowski pochodził z rodziny niezamożnej, był synem oficyalisty gospodarczego a wiemy jaki los był u nas tych pracowników; lepszym wprawdzie niż dzisiaj, bo przynajmniej wierny rządca lub ekonom znalazł na stare lata chleb łaskawy, ale rzadko który, jeśli nie oszukiwał swego chlebowawcy, był tak uposażonym, żeby mógł dzieciom dać gruntowną oświatę szkolną. Prezydent lwowski także nie zakosztował dobrodziejstw wyższej nauki; wstąpił jako terminator do warstata lakierniczego, z którego po kilku latach ciężkiej praktyki wyszedł na czeladnika a potem na majstra. Pan majster dorobił się majątku i zarazem imienia tak szanownego, że wszyscy kłaniali mu się jak dygnitarzowi a co powiedział Dąbrowski było świętą prawdą.

Znaczenie jego moralne tak wzrosło, że został obrany posłem na sejm krajowy, następnie wice-prezydentem, w końcu prezydentem Lwowa, nie używając do tego żadnych intryg, nikogo o ten zaszczyt nie prosząc, nikomu się nie kłaniając...

Zdawałoby się, że człowieka mało wykształconego, rzemieślnika, ta prezydentura odurzy lub że zadaniu nie podoła—tymczasem dzielny człowiek ani trzeźwości umysłu nie stracił, ani wbił się w dumę, ani zdolności swoich nie przecenił. Należał on do prezydentów najlepszych i miastu swemu wiele oddał usług takich, na które długie lata napróżno czekało.

Przedewszystkiem był cierpliwym, wyrozumiałym, oszczędnym i pracowitym; posiadał więc przymioty, które tworzą bohaterów w życiu codziennem, co nieraz jest straszniejsze i cięższe do zniesienia niż życie w ogniu wojowym.

Takiego to prezydenta-rzemieślnika lwi gród odprowadził do grobu, oddając hołd pamięci człowieka, który żadnej zasługi przodków nie chciał sobie przywłaszczyć: z herbem szlacheckim, do którego miał prawo z urodzenia, nigdy nie występował; sygnetu z armaturą nie nosił, nie był jednak demagogiem, co zasługami przeszłości z radością poniewiera. Patrzył on na przeszłość jak na grób, z którego życie płynie wówczas tylko, jeśli go podlewamy znojem własnego czoła.

Nie utrzymujemy bynajmniej, że taki charakter jak W. Dąbrowski był jedynym przykładem w sferze naszych rzemieślników, owszem, równie dzielnych i zacnych znaleźlibyśmy w niejednym cechu a i Warszawa pochwalić by się nimi mogła; w osobie jednak zmarłego obywatela wyróżniamy dwa wybitne przymioty, jakimi nasi rzemieślnicy najzdolniejsi i najpocziwsi zbytnio nie celują—był pracowitym ale rzemiosło nie stanowiło dla niego muru chińskiego od reszty świata, był oszczędnym ale nie chciwym. Miał świadomość wszystkiego co społeczeństwa dotyczy i posiadał dobrobyt bez najmniejszej plamki na swém nazwisku.

Zdrowe jest społeczeństwo, które umie ocenić takich ludzi; patrzmy jak ten i ów wywdzięcza się za odebrane dobrodziejstwa i potem mierzymy wartość jego, a prawie nigdy w sądzie się nie omylimy. Nie znamy szanownego właściciela Zorudzia, majątku w okolicach Kowla, ale jesteśmy pewni, że należy on do obywateli najzacniejszych, kiedy umie być wdzięcznym swemu oficyaliście p. Antoniemu Felińskiemu, który w jego rodzinie służył pół wieku i jako administrator strzegł mienia dobrodzieja swojego p. Hipolita Sosnowskiego.

W tych dniach dwór zorudzki przyjął gościnnie sąsiadów, na obchód jubileuszu zacnego weterana pracy rolniczej; oficyalista był podejmowany jak dobry towarzysz z pod jednej chorągwi, bo rzeczywiście dziś dobry administrator, pracowity ekonom, uczciwy pisarz prowentowy a nawet wierny parobek, to wszystko towarzysze, którzy albo dziedzica wydać mogą na łup nieprzyjaciela albo go ze szponów wydobyć.

Jak dawniej za czyny wojenne wpisywano pachółka do rodziny szlacheckiej, tak dziś na tę samą nobilitacyą zasługuje wierny a zdolny oficyalista. Wprawdzie p. A. F. nobilitacyi herbowej nie potrzebuje, bo krewny czcigodnego arcybiskupa Z. Szczęsnego Felińskiego posiada herb własny, ale mówimy o nobilitacyi obyczajów, które dawniej oficyalistę najgorliwszego trzymały zdaleka a za grzeczność pan płacić sobie kazał czapkowaniem i pochlebstwem. Nobilitacya obyczajów obejdzie się bez herbu nad wrotami lub na drzwiczkach karocy i na kobierzec ślubny poprowadzi chłopkę ze szlachcicem, jeśli umysł jej i serce pozbędą się prostactwa.

Taką nobilitacyą nie może się pochwalić hr. L., właściciel majątku z nad granicy Kurlandyi, potomek polskiego rodu, pieczętującego się historycznymi tarczami. Czyn za jaki go potępiamy praktykuje się codziennie na bruku miejskim, jednak to nie zmniejsza oburzenia naszego na człowieka, co zdradę wnosi pod dach sąsiedzki, zrywa nagle stosunki, żeni się z córką rodziny wykapaną w błocie i wzbogaca się milionami swój bogdanki. Dworek szlachecki w którym hrabicz bywał jako konkurent leży ponad Niemnem, żonę-towar znalazł w Warszawie—żonę brzydką jak noc w porównaniu z nadniemeńskim dziewczęciem ale bogatą, bardzo bogatą...

Sąsiedzi na zdradę tę przymknęli oczy i zaproszenie do pałacu przyjęli;—każdy uśmiechnął się, sarknął, wstrząsł się ze wstrętem ale w końcu zajął miejsce przy lukullusowym stole.

Jeden tylko znalazł się prostak, który zaproszenia odmówił a był nim miejscowy ksiądz proboszcz; widząc on i czując krzywdę, jaką wyrządził hrabia zacnej rodzinie—nie mógł dać rozgrzeszenia występniemu.

Hrabia chcąc ująć sobie plebana, ofiarował mu bogaty ornat i złotą tabakierkę—kapłan ornat przyjął ale tabakierkę odesłał. „Ofiary dla kościoła ubożuchnego nie odrzucam—tłumaczył się hrabiemu—ale ja tego ornatu używać nie będę; wolę mój stary, bo wiem, że szyły go pobożne ręce na intencyą Boga ale nie dla zamazania winy.”

Hrabia oburzony zerwał z czcigodnym proboszczem, nazywając go zacofanym romantykiem. Niechże taki romantyzm przechowuje się jaknajdłużej pod strzechą plebanii; niech kapłani zastąpią nam poetów, którzy ogłuszeni, przelekli gonitwą ludzi za zyskiem, śpiewać przestali na nutę cnót dawnych.

Umilkł na zawsze podobnego rodzaju śpiewak, który także przerażony nowemi hasłami a nie czując u ramienia skrzydeł orlich do walczenia z burzą, wołał usunąć się ludziom z oczu i czekać aż go gwiazdy zawołają do siebie. Ś. p. Józefa Prusiecka kiedyś pisała dużo, poezye jej miały zwolenników, w niejedną duszę wprowadziły światło wiary i nadziei; krytyka wróżyła młodziutkiej poetce przyszłość świetną ale przepowiednie te zmrożone zostały nieszczęściem...

Poetka umilkła, oddała się pracy cichej lecz błogosławionej—zaczęła nauczać dzieci; nie znała rozkoszy macierzyństwa ale kochała tych przyszłych ludzi, umiała do nich przemawiać; wychowywała je także romantycznie—uczyła wiary w Boga, własnym przykładem stwierdzała moc życiodajną tradycyi; nie szdyząc z postępu, nie odwracając się od nauki, co bada tajemnice przyrody — rączki dzieci składała do pacierza.

SEP.

## HERB NA GIEŁDZIE.

POWIEŚĆ

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

P. Joachim zaczął spokojnie opowiadać o swoim nieszczęściu; mówił o grze giełdowej, o swoich prawach i obowiązkach jako pośrednika tej gry; mówił dalej o katastrofie giełdowej, która miliony pochłonęła, i o nieuzasadnionych pretensjach, jakie do niego mają ci, którzy na giełdzie stracili. Wspomniał przytem o różnych obelgach, jakie mu z tego powodu wyrządzono i jakimi mu jeszcze grożą; dodał wreszcie, że chciałby raz skończyć z temi pogrózkami i w tym celu jego zażądał pomocy.

P. Józef ze zdziwieniem spojrzął na mówcę.

— Jeżeli kto niezasłużenie honor pana szarpie — odpowiedział z uśmiechem—to wyzwąć go i strzelać się z nim.

P. Joachim pokręcił głową i westchnął.

— Łatwo to panu powiedzieć, który jesteś wolny—i nie prowadzisz interesów pieniężnych. Ja mam najprzód liczną rodzinę, z której każdy umrzeć może, gdy się dowie, że ktoś do mnie jak do malowanego turka strzelać będzie... potem jestem głównym filarem pieniężnego domu, któremu tysiące rodzin powierzyło swoje majątki. Moja śmierć przerywa pasmo wszystkich interesów pieniężnych, a cudze majątki mogłyby zginąć: otóż ten wzgląd na dobro publiczne, każe mi unikać pojedynków — moja osoba jest gwarancją dla tych, którzy mi zaufali.

— Przecież nikt za pana strzelać się nie może? — każdy musi sam swego honoru bronić.

— Rozumiem to. Chciałbym tylko, abym miał opinią odważnego człowieka, który każdemu na wyzwanie stanie.

— Jakimże sposobem możesz pan mieć tę opinią, jeżeli dotąd nie miałeś żadnego pojedynku?

— W tym też celu żądam pomocy od pana.

P. Józef z najwyższym zadziwieniem patrzył na wekslarza; wekslarz milczał czas niejaki, jakby myśli swoje zbierał do ważnej propozycji.

— Żądam od pana takiej przysługi—ozwał się po chwili.  
— Słucham.

— Dam panu mój paszport i z nim jako Joachim Rotszyld udasz się do jakich wód odległych w Niemczech; tam bardzo łatwo znajdziesz powód do pojedynku.

P. Józef osłupiał; zmarszczył brwi—usta mu zadrgały...  
Wekslarz mówił dalej:

— Prusacy są nieprzyjaciółmi polaków i prześladowają ich w Księstwie Poznańskim, jak to ciągle czytam w gazetach. Nie pozwalają im mówić mową ojców swoich, wysmiewają rządy dawniej Rzeczypospolitej i wyszydają ich upominania się o sprawiedliwość.

Panu Józefowi poczerwieniały blizny na czole. Ściśniętą pięć podniósł do góry i zamasyście wywinął ją kilka razy w powietrzu.

P. Joachim odwrócił nieco głowę.

— Co pan robisz? — zapytał z widocznym niepokojem.

— Szelmy! łotry! — krzyknął p. Józef, aż jedwabne firanki poruszyły się przy oknach.

— Czy... o prusakach pan mówisz?

— Tak... o nich mówię!

Spokój i zadowolenie wróciły na twarz wekslarza; z dobrą otuchą przysunął się bliżej.

— Mówię panu, że to szelmy i łotry jakich świat nie widział! Obrzydłe plemie krzyżackie! Należała im się już dawno od nas nauczka... gdybyś pan jednego z nich dobrze pokiereszował, lub na wskrós przedziurawił, zrobiłbyś czyn patriotyczny.

Pan Józef potrząsł znowu kilka razy ręką w powietrzu, jakby kiereszował owego wroga; na twarzy jego malowała się pewna rozkosz. Obraz, jaki mu wekslarz przed oczy podsunął miał dla niego tyle ponęty, że o postawionych przez tegoż warunkach wcale w tej chwili nie myślał. Wspomniany ucisk braci nad Wartą oburzył go na prześladowców i dokonał reszty — ciał ręką na wszystkie strony.

— Już widzę po tych zręcznych razach — rzekł z uśmiechem wekslarz — że pan mógłbyś poćwiertować nieprzyjaciela jak cielęcinę.

— Cóżby panu z tego przyszło?

— Nazajutrz rozniosłyby wszystkie dzienniki po świecie telegram, że pan Joachim Rotszyld, znana firma domu wiedeńskiego, wyzwał na pojedynek i pokiereszował lub zabił pana Falka Maurycego.

P. Józef przypomniał sobie, o co właściwie chodzi wekslarzowi. Patrzył na niego z uśmiechem.

— Za to obowiązuję się panu zwrócić kapitalik, przegrany na giełdzie.

P. Józef nie mógł teraz pozbierać myśli swoich; propozycja wekslarza mieściła w sobie złe i dobre rzeczy. Oburzało go, że miał przyjąć na czas niejaki nazwisko człowieka, który prawdopodobnie był lichą figurą i w jego skorupie chodzić po ziemi. Z drugiej strony wyciągała się gwałtem ręka jego na jakiego prusaka; dotego nadzieja zwrotu sukcesy dawała mu rozkoszne obrazy i żywo przypominała altankę w Konopówce... Wszystko to mieszało się w tak dziwną grę uczuć i myśli, jak się mieszają barwy i kształty w kalejdoskopie. Po chwili zmieniła się twarz jego; zmarszczył brwi.

— Nie, to być nie może! — zawołał.

— Dlaczego? — zapytał wekslarz.

— To byłoby hańbą dla mnie!

— Hańbą? dlaczego hańbą?... Byłby to figiel, żarcik ze strony pana, jak to często widzimy w komedyi! Czyż to hańbi?

— Ale za pieniądze!

— To są pieniądze pana a nie moje. Zwracam je panu... pod tym i pod tym warunkiem...

— To być nie może!

— Jeżeli tak... to wyrzeknij się pan szczęścia swego na zawsze! Świat panu urągać będzie—ona zapomni o człowieku, który dla jej szczęścia nic zrobić nie chciał... a może też zachoruje i umrze! Ziemi przybędzie jedna mogiłka więcej...

— Nie mów pan dalej! — krzyknął p. Józef.

Czoło jego poczerwieniało jak spiz rozpalony, oczy zataczały się błędnie.

— Nic nie mówię — odparł wekslarz — a czekam na odpowiedź.

P. Józef gryzł wargi do krwi.

— Daj pan swój paszport! — wykrztusił po chwili.

Wekslarz podał mu małą książeczkę.

— A cóżby się stało — zapytał p. Józef — gdybym ja w pojedynku zginął?

Wekslarz zmarszczył czoło i zamyslił się.

— I to być może... ale gra jest grą. Wierzę, że obaj wygramy.

— A co pan tymczasem z sobą zrobisz?

— Schowam się w jaki odległy zakątek ziemi.

— Pod jakim nazwiskiem?

— Pod nazwiskiem... pana. Spróbuję choć na chwilę być szlachcicem herbowym.

Pan Józef rozśmiał się na całe gardło śmiechem waryata...

## XV.

Był to właśnie dzień targowy. Pan Jędrzej wrócił z miasta. Służący Wojtek przybiegł do wózka, aby oczekiwane sprawunki wnieść do sieni. Zdziwił się wielce, że w wózku żadnych rzeczy nie było; był tylko sam p. Jędrzej i takim wzrokiem spojrzawszy na Wojtkę, że tenże uznał za stosowne cofnąć się czemprędzej poza tylne koła. Pan Jędrzej wyskoczył z niezwykłą energią z bryczki.

— A gdzie sprawunki? — zapytała pani Jędrzejowa, która stała właśnie przy szybie historycznej.

P. Jędrzej nie przywitał się wcale z małżonką. Był czerwony jak burak, oczy miał krwawo nabiegłe.

— Żeby to człowiek choć raz w życiu nie miał sprawunków, gdy jedzie do miasta—odfuknął z gniewem—a to nadadzą tego bez liku, aż się w głowie kręci. Całe życie chodzi człowiek jak muł objuczony.

Pani Jędrzejowa spojrzawszy na męża.

— Cóż tam znowu?

— Czy nie dość tego, co jest? szpital w domu, płacze człowiek po kątach, a tu jeszcze ludzie cierkają za plecyma, że jest gorszy od dyabła!... Wszystkiemu temu winien proboszcz.

— Cóż ci znów proboszcz zrobił?

— Daj pokój kochanie—ty zawsze za nim obstajesz, a ja ci powiadam, że on często jakby naumyślnie za sadło mi naleje. Ot niedawno, gdyśmy grali w preferansę...

— Pomylił się starowina.

— Albo wtedy, gdy przyszedł jak przyjaciel do Hioba...

— Przecież wyraźnie ostrzegał nas przed Pałaczkami.

— W dwóch słowach mógłby był to samo powiedzieć...

A jakże kochanie to wytłumaczysz, że odebrałszy gazety z tłustym telegramem, zamknął je na klucz a sam pojechał do choroego; gdy zaś wrócił, położył się spać z gazetą pod poduszką.

— Pocóż te gazety na drugi dzień rzucił do kosza?

— To co innego. W takiej chwili rzuciłbym samego dyabła do kosza, gdyby mi się był nawinał. Przypomnij sobie, co to była za chwila: marzenia nasze stracone, Helunia chora, a my w rozpacz. Aniołowi pomieszałyby się klepki w głowie!

Pani Jędrzejowa westchnęła.

— Cośmy wycierpieli — prawil dalej p. Jędrzej — Bogu tylko wiadomo—wstyd, hańba i obmowa ludzka! Pierwej nam zazdrozczono, a potem z ostentacją litowano się nad nami; teraz zrzucano obłudną maskę litości i zasypało nas potwarzą. Powiadają, że Helunia oddała panu Józefowi pierścionek, gdy się dowiedziała, że kapitalik swój utopił... Szewcka pasya bierze człowieka na takie gadanie!

— Tak to rzeczywiście wygląda.

— I ty jeszcze tak mówisz?

— Nie można ludziom brać za złe, że tak im się wydaje. Gdy pan Józef po raz ostatni był u nas, wszyscy już wiedzieli, że stracił cały kapitalik. Powiedziałeś nam, że sam będziesz z nim rozmawiał... a rozmawiałeś tak, że on był pewny, iż tu chodzi tylko o pieniądze.

— Pocóżście uwiły sobie jakieś plotki o Pałaczkach?

— I to było prawdziwe.

— U was wszystko prawdziwe! Gdy mężczyzna zerknie na kobietę i do niej kilka słów przemówi, już zaraz romans u was! P. Józefowi ani się śniło... pojechał do Pałaczkowskich w sprawie wyborów, a wy zrobiliście z tego zaraz bigos hultajski! I jakże to żyć człowiekowi na świecie!

— Sam zawiniłeś a na drugich zwalasz. Pocóż było z p. Józefem gadać pod jakimiś figurami, dlaczegóż mu prosto nie powiedziałeś, o co się rozchodzi?

— Dyabeł wiedział, z czém on przyjechał.

Nastąpiło długie milczenie. Pani Jędrzejowa patrzyła zamyślona przez okno, a pan Jędrzej chodził po pokoju w czapce płócienną, której jeszcze nie zdjął z głowy.

— Co najgorsza, że rzucają na nas czarną potwarz. Powiadają, żeśmy handlowali córką, żeśmy p. Józefa złapali dla pieniędzy, a potem go wyrzucili, gdy pieniądze dyabli wzięli. I jakże teraz patrzeć ludziom w oczy!

— Ciekawa jestem, co byś zrobił, gdybyś był wiedział o ruinie pana Józefa?

— To rzecz inna. Pieniądzy nie trzeba lekceważyć; miłość bez pieniędzy nie wiele warta. Wtedy inaczejby się mówiło; powiedziałoby się, że nie rozchodzi się tu o pieniądze ale o historią w Pałaczkowskich. Rzecz stałaby jasno, a Helunia nie kładłaby się do łóżka.

— Teraz najbardziej ona na tém cierpi. Wszystko przemawia za tém, że dla pieniędzy z panem Józefem zerwała; najbardziej boli ją, że sam pan Józef tak myśli, a z czém się nawet nie tań. Jest niepocieszona i obawiam się o jęj życie!

Pan Jędrzej chwycił żonę za rękę.

— Co pleciesz, kochanie? Helunia chciałaby umrzeć i nas samych na świecie zostawić?

Łzy puściły się z oczu p. Jędrzeja.

— Ona go kocha! — szepnęła z westchnieniem pani Jędrzejowa.

— Kocha go... nawet bez sukcesy?

— Jeszcze więcej niż pierwej.

— Dziwne kobiety!... Pocziwe, zacne... ale zawsze głupiuteńkie jak gąski!

Pan Jędrzej zaśmiał się, ale łzy nie przestały mu kapać z oczu.

— Ona kocha go—mówił dalej wśród łez i śmiechu—pocziwa Helunia! Kocha go bez jego sukcesy, z trzema ciotkami, dwójgim sierot, nie licząc w to matki, siostry i pana majora! Wszystkich kocha i chce ich karmić jak pelikan...

Pani Jędrzejowa z uwagą patrzyła na męża.

— Będzie chodzić koło nich jak służebnica... będzie sama stać przy kuchni i jeść gotować... dla trzech ciotek będzie gotowała zupę chlebową, dla majora barszczyk z uszkami. Pocziwa Helunia! Złote dziecko!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## O JULIUSZU SŁOWACKIM.

ZE WSPOMIENI

ALEKSANDRA PÓLKOZICA.

Wspomnienia młodości podobne są do promieni jesienne-go słońca... co choć padają na żółtkę już lub poczerwieniałe liście, stroją je w złoto i w purpurę...

W promieniach takich wspomnień, odległe czasy i zasypane już gruzami życia fragmenta młodości odradzają się—i raz, niby kwiaty niewidzialne, przynoszą nam woń znaną... to znowu, jak pasma mgły srebrzystej, skąpane w blasku tych promieni, przesuwiają się przed wzrokiem ducha, budząc w nim rzewną a niekiedy i szaloną tęsknotę do tych kształtów dzielnych, do tych form silnych obiegami krwi młodej, w których przebywał, które napełniał... kiedyś, siejąc dokoła siebie moralne i materialne życie!

Idea metempsychozy, jakkolwiek jest hipotezą a może nawet i utopią tylko, ma jednak swoje naturalne pochodzenie. Nie dziw bowiem, że ludziom myślącym, którzy pomną, iż

w ciągu upłynionych lat kilkudziesięciu kilka osób moralnych zamieszkiwało równocześnie dłużej lub krócej w ich ciele, że osoby te wszystkie pomarły już zupełnie a i za życia niepokrewne były niczém z tą ostatnią, jaka w tém samym ciele obecnie dogorywa; nie dziw, że ludziom takim, wiara w przejście dusz z jednych ciał w drugie może się wydać prawdziwą...

Czytelniku! z pomarszczoną twarzą, z osiwiałą lub wyłysiałą głową, czy dziś, siedząc w wygodnym fotelu, otulony w egoizm i we... flanelę—z wieczną już tylko o żołądek troską, przyznasz się do tożsamości z tą dziarską, gotową do poświęceń, rozkochaną w ludzkości i... w jakichś czarnych oczach postacią młodzieńczą, która też same, dziś drżące i bezsilne ręce, wyciągała ku światu, z miłością lub groźbą; która z tych samych oczu, dziś przyćmionych i wypłowiałych, strzelała iskrami zapalu, która, jakby na urągawisko téj dzisiejszej twojej, skaduczałej, bezwładnej postaci, wskakiwała niegdyś na siodło, by pognać, jak wichur, za warkoczem płowym... lub za kometą wojny?

Przyznaj się, uczciwy czytelniku, że dziś na ten pierwotwór własny poglądasz jak na sen rozpierzchny; że drżysz na wspomnienie czynów i niebezpieczeństw, które spełniał, na które się narażał, ów wariat... szczęśliwy!

Rozumie się, że ciebie, sędziwa czytelniczko, nie śmiem zapytać o tę młodą, poetyczną dziewczę, która niegdyś nad kadzidło pochlebstwa przekładała woń kwiatów polnych, a która tych kwiatów wyrzekła się dla uczucia, co owładnęło jęj sercem, krwią i głową! A już i dotknąć nawet obawiam się ciebie, która z okiem pełnym potępienia, z plotką w ustach syczącą, obiegasz ten świat grzeszny! Ty byś pewnie, nietylko się zaparła lecz przekleństwem zdruzgotała ów świeży pączek twego życia, który kiedyś, pod słonecznym pocałunkiem rozchyłał listki, spragnione rosy miłości.

A jednak... bywają chwile w których i my, weterani życia, szlapiący się już tylko ku mogiłom otwartym, zwracamy oczy na wpół bielmem przykryte ku owym pierwszym naszego ciała mieszkańcom i czujemy, że jakaś jeszcze kropelka ich krwi w nas się burzy, że jakieś echo ich serc bijących do nas dobiega...

W takich chwilach, jednoczących przeszłość z terażniejszością, życie z martwością, lubimy rozgrzebywać te zagasłe popioły ze spalonych uczuć, żądz i nadziei naszych, lubimy wywoływać i wskrzeszać umarłe wspomnienia nasze...

Zapewne to pod wpływem chwili takiej i przedemną także zmartwychwstają obrazy z przeszłości, a z nich wynurzają się rozmaite postacie. Prawie wszystkie one pokładły się już do grobów — lecz nad mogiłami wyrosły wspaniałe wawrzyny... a oblicza niektórych, przekazane panteonowi narodowego ducha, jaśnieją mi dotąd w pamięci otoczone nimbą.

Jedną z owych postaci z obliczem takim jest Juliusz Słowacki.

Ilećroć dziś, gdy już ten „bożek poezyi” wynurzył się tak z mgieł, które go osłaniały, że czoło jego obwite laurami całemu narodowi jest widne; gdy jego arcydzieła przestają już być ze sfinksami dla coraz szerszego zastępu ludzi zdolnych odcenić ten geniusz tajemniczy... ilećroć dziś przypomnę sobie tę postać samotną — o bladym obliczu i oczach czarnych, z których poglądał duch wzrokiem niekiedy tak przemożnym i tak głębokim, że siły jego wytrzymać było niepodobna... ilećroć stanie mi przed oczyma ten bard narodu, który tak długo „senne tylko królestwa posiadał — niemą miał arfę i słuchaczy głuchych...” a który umierając nie wiedział jeszcze, czy za życie poświęcone zupełnie poezyi, której wstępą jak tęczę obwinął i przystroił w urok nieśmiertelny ziemską ojczyznę swoją — otrzyma kiedyś to „wszystko” o co „miał się upomnieć za grobem”, tylećroć nie mogę się oprzeć głębokiemu wzruszeniu.

Wiele już pisano i mówiono o naśladowaniu przez Słowackiego to Szekspira, to Bajrona, to znowu Danta i Kalderona. Byli i tacy, którzy nazwali bez ceremonii to naśladownictwo, „kradzieżą”.

Słowacki urodził się poetą. Poezya była jego ołtarzem, na którym składał wszystkie serca kwiaty, wszystkie ducha swego ofiary... lecz był i jęj kochankiem także. Śliczna ta Muza o ciele greckim, napełnioném chrześcijańskim duchem, obsypała swego oblubieńca darami, jakich nie miał za-



den inny z jój kapłanów nawet: dała mu możność odtwarzać wszystkie wdzięki, wszystkie przymioty i uroki swoje.

Żyjąc w takim stosunku z idealną oblubienicą swoją, Słowacki nie tylko odczuwał wrażliwiej niż ktokolwiek inny, wszystkie rodzaje poetyckiego piękna — w duchu i w formie zarówno, lecz, jak kochanek prawdziwy, zazdrościł każdemu kto piórem, genialnym także, wytworzył jakiś wyraz świeży, jakiś hymn nowy ku jój uwielbieniu. Nie chciał aby go zamiano, ażeby mu odebrano najbliższe przy sercu tej kochanki miejsce i dlatego chwycił natychmiast lirę by zanucić pieśń w tymże samym tonie, téjże treści nawet — lecz piękniejszą jeszcze w samj formie swojej.

Słowacki przyswajając w swych arcydziełach niektóre sytuacje i pomysły Szekspira, Bajrona, Kalderona i t. d. czynił to jawnie, z pewną ostentacją nawet. Nie dlatego by naśladować tych poetów lecz by dowieść, że on sam jeden może tak pisać jak pisali razem wszyscy poeci wielcy, że każdego z nich w duchu i w formie odtworzyć potrafi.

Była to świadomość olbrzymich sił własnych, która nie wzbijała go w dumę ani w zawiść niską — bo każdemu z tych poetów czując się równym, kochał go jednak i wielbił jawnie.

Jeden z najsumienniejszych i najpracowitszych historyków literatury polskiej, prof. Józef Belcikowski, w pomnikowym swém dziele poprzedzonym przedmową Piotra Chmielowskiego p. t. „Ze studyów nad literaturą”, mówiąc o tém naśladownictwie Słowackiego twierdzi, że u tego olbrzymiego talentu i rzeczywistej genialności poety, wszystko, i wtedy gdy naśladowuje, wre życiem i gorącością serca: każdy rys kreśli on ręką pewną, z siłą i z przekonaniem, że tak być powinno. W tym cudzym świecie do którego wdarł się na chwilę, gospodaruje jak pan domu, któremu znany każdy kącik, każdy zaułek i który ma tu nieograniczoną władzę. Słowacki przenosząc myśli czy sytuacje innych poetów do siebie, postępuje jak ogrodnik, który egzotyczne rośliny do swego kraju, pod inną strefę przesiedla. To, co w nowj ojczyźnie wyrośnie, będzie to też sama co dawniej roślina, lecz zmieni swą naturę, bo będzie wypielęgnowana w innych warunkach, pod innym klimatem i w innj ziemi. Pozostanie jój tylko wspólny przymiot z pierwotną rośliną, przymiot nieoszacowany — życie.

Zresztą, nie tylko Belcikowski lecz i dwaj inni znakomici myśliciele i krytycy, profesorowie: Małecki i Chmielowski, zarzucając nawet Słowackiemu to, tak zwane, naśladownictwo i brak harmonii pomiędzy utworami jego — twierdzą jednak: pierwszy, że Mickiewicz „wyższy jest od Słowackiego niższością ducha”; drugi zaś, mówiąc o tym poecie w gruntownj swj pracy, „Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego”, powiada: „Stwarzał on cudne obrazy, zachwycał pysznemi barwami a zdumiewał językiem, co lśni jak mozaika, śpiewa jak słowik; językiem, któremu równego niema w literaturze naszj, przed którym Mickiewicz musi uchylić czoła.”

Co do mnie, szanując zdanie tych wszystkich, którzy o Słowackim, z miłością i czcią należną geniuszowi acz sprzecznie ze mną mówią — trwam jednak przy swjém przekonaniu a popieram je tym jeszcze faktem, że wielki nasz poeta nie tylko Szekspira, Byrona i innych, lecz nawet Salomona chciał i zdołał uwiezić w swjój formie wszechstronnj.

Bo czyliż temu kto zna tak zwaną „Pieśń nad pieśniami” judejskiego króla-poety, nie przypomni jój żywo piosenka, którą „Krystyna”, w pośmiertnym rękopiśmie Juliusza, Bolesławowi Śmiałemu:

O przyjdź — śpiewała — bo gołębi stadem,  
Wysyłam na wsze wiatry ognie moje.  
O przyjdź — z kwiatami czekam, z winogradem:  
Na łonie białém złożę i upoje!  
O przyjdź! — miesiąca i złodzieja śladem,  
A otwórz cicho — jak anioł — podwoje.

Gwiazdy zliczyłam idące na niebie  
A ciebie niema, mój piękny i młody...  
O przyjdź! W płomieniach cała czekam ciebie!...  
Jestem pierzchliwa, jako młode źrebie;  
Jestem, jak jagnię najsmaczniejsze z trzody;  
Jak gołębicą jestem nieobronna,  
A jestem, jak kwiat rajski, cała wonna...

Nie znajdziesz, czegom nie obiecywała;  
Lecz obiecuję czego dusza pragnie.  
Przyjdź! A lichtarze złociste zapalę,  
Zakadzę drogim, wonnym cynamonem  
A jeszcze jaśniej przez mych ust korale  
I jeszcze śnieżniej zabłysnę ci łonem...  
Cicho, jak ogień, szeptań — bo mię strzegą...

Lecz dosyć już o poecie — mówmy o człowieku nieco.

(Dokończenie nastąpi).

## PIZARRO PRZED KAROLEM V.

W połowie rządów hiszpańskich Karola I, który obrany cesarzem niemieckim w r. 1519, był jako Karol V najpotężniejszym z monarchów ówczesnych i władał ogromnym państwem, nad którym nigdy słońce nie zachodziło, zjawił się na dworze madryckim Franciszek Pizarro, z projektem podbicia pod władzę Hiszpanii bogatych krain, leżących na południowo-zachodnim wybrzeżu Południowj Ameryki.

Odważny ten ale bez sumienia awanturnik, rodem z miasta Truxillo, w prowincji Caceres, popłynawszy do Ameryki, i tam związawszy się z drugim podobnym sobie awanturnikiem Diegiem d'Almagro, powziął zuchwały zamiar zawojowania Peru i Chili. Teraz przybył do ojczyzny, wzywając pomocy i opieki Karola dla swego przedsięwzięcia.

Plan, który przedstawił dumnemu monarsze, mimo swjój świetności gdyby się udał, był zarazem tak zuchwałym i opartym na środkach działania tak niezgodnych z najluźniejszymi pojęciami o moralności i uczciwości, że Karol, który, tam gdzie chodziło o dopięcie doniosłych celów, nie przebierał w środkach, jak tego dowiódł między innymi przyjęciem usług konetabla francuzkiego Karola Bourbona, zdraycy Francji, zawałał się zrazu. Ale Pizarro umiał usunąć skrapuły monarchy, który zresztą może tego tylko pragnął, aby mu je wyperswadowano.

Rycina nasza przedstawia właśnie Pizarra w gabinecie Karola, w chwili kiedy dowodzi, że wszelkie środki prowadzące do osiągnięcia wielkiego dzieła są dobre, i oświadczają, że innymi drogami celu dopięć niepodobna.

Dowodzenia te trafiły w końcu do przekonania Karola i d. 28 lipca 1529 r. podpisał akt, upoważniający Pizarra do użycia wszelkich środków, jakie uzna za stosowne w celu podbicia pomienionych krain pod berło hiszpańskie, i mianujący go generalnym kapitanem przyszych posiadłości hiszpańskich.

Opatrzony w takie pełnomocnictwo, dobrawszy sobie zastęp ludzi podobnych sobie i ważących się na wszystko, wyprawił się Pizarro powtórnie do Ameryki. Po zaciętych walkach z indyanami, zarówno dziką odwagą własną i towarzyszy, jak najstraszniejszym okrucieństwem, najpodlejszymi szalbierstwami i haniebnymi podstępami zawojował Peru, zdobywszy po rozpaczliwj obronie bogate miasto Cuzco, podczas gdy Almagro opanował Chili.

Następnie Pizarro zabrał się do urządzenia zdobytego kraju i w r. 1534 położył podwaliny do nowj stolicy, Cuidad-de-los-Reyes, później Limą nazwanj. Atoli zazdrosny Almagro podburzył niezadowolonych z rządów Pizarra peruwiańczyków, obległ Cuzco i dwóch braci Pizarra wziął do niewoli. Wypuściwszy braci, Pizarro w r. 1538 wziął odwet na Almagrze, a pochwywszy go, ściągć kazał; ale w r. 1541, 26 czerwca, sam padł pod ciosami sprzyśniętych na jego zgubę przyjaciół Almagra. Nemezys pomściła się na obu za krew przelaną w imię dyplomacyi i wielkości ojczyzny, okupionj niewolą innych ludów.

## Z KSIĄŻKI I Z ŻYCIA.

500-tny jubileusz bitwy pod Sempach. — Kult wspomnień narodowych w Szwajcaryi. — Wyprawa małżonków Dieulafoy do Persyi. — Znalezienie pałacu Daryusza. — Defilada Nieśmiertelnych. — Hold spóźniony. — Sława i węgiel. — Tragedya w pracowni rzeźbiarza. — Płaszcz dla przyjaciela.

Nic piękniejszego nad ten wykravek z raju, zwany Jezio-rem czterech Kantonów; opisywać go nie będę — najcudniejszy

krajobraz nudnym jest z opisu. Są rzeczy stworzone tylko dla pędzla, które widzieć potrzeba, aby się niemi zachwycić.

To miasteczko, ze spiczastemi wieżyczkami, u stóp jeziora, przeglądające się w spokojnej jego powierzchni, — to Sempach. Jak tu spokojnie, zacisznie! Patrząc na to gładkie zwierciadło wodne, na te góry, u których stóp wiosna a zima na szczytach, spokój jakiś błogi nas ogarnia; zdaje się, że do zakątka tego nie doszło nigdy echo zatargów ludzkich, że szczęki oręża nie zakłóciły nigdy snu tych kolosów milczących. Mylimy się, ziemia po której stąpamy przesiąknięta jest krwią jej obrońców; tu skromna kapliczka pamiątkowa, tu miejsce poboju, na którym walczone za świętą sprawę, tu obelisk okolony świerkami, tu pomnik bohatera, który piersią swoją opłacił niezależność Szwajcaryi.

Od czasów tych upłynęło lat pół tysiąca, a przecież wspomnienie ich tkwi żywo w piersi prawników, chłopię wioskowe śpiewa starą pieśń o bitwie pod Sempach i o wielkim czynie Winkelrieda.

Pobojowisko to przenosi człowieka w wieki odległe; zdaje mu się, że widzi dziewięciotysięczną armią austriacką, z księciem Leopoldem na czele. Z Karyntyi, Szwabii, Alzacyi i Tyrolu ciągną rycerze i najemne żołdactwo; konie i ludzie, w zbroje ciężkie od stóp do głów okuci, robią wrażenie jakichś potworów żelaznych, których sam widok przeraża; las spis się jeży, proporce powiewają, polerowane hełmy i zbroje lśnią na słońcu. Rycerze pomykają wesoło, jakgdyby szli na gody, drwiąc z garstki chłopów i pastuchów górskich, poważających się stawić im opór.

Wszystko szło dotąd pomyślnie: już kilka miast austriacy puścili z dymem, tryumfowali na zgłiszczach, z pewnością siebie zbliżają się do Lucerny. Lecz któż to im drogę zagraża? Półtora tysiąca chłopów z Lucerny, Ury, Szwyc i Unterwalden zebrało się i rozpostarło na skraju rozległej polanki; ten pługa odbiegł, ten stada, pochwycił młot, topór, rohatynę lub kosę i pospieszył bronić zagrożonej ojczyzny.

Widok tej gromadki rozśmieszył Leopolda; trzeba ją było jednak znieść, bo zasłaniała dostęp do miasta. Grunt był nierówny, niepodobna było użyć konnicy; rycerze pozsiadali z koni i postanowili walczyć pieszo. Słońce lipcowe piekło, ciężko było w zamkniętych szczelnie rynsztunkach, lecz pocieszano się, że walka długa nie potrwa.

Związkowi tymczasem uszykowali się klinem i usiłovali przebić zwarte szeregi rycerzy; lecz zamiast ludzi napotykali las spis ośmiolokciowych, które pruły im piersi i wroga nie dawały osiągnąć. Już sześćdziesięciu legło, nim zranić kogo zdołali; niepodobna było myśleć o zrobieniu wylomu w tym zwartym murze z żelaza—stał groźny, niewzruszony, oparkaniony jakby ostrokołem, kolcami spis powysuwanych z szeregów. Położenie stawało się rozpaczliwem; związkowi cofnęli się, nie wiedząc co począć.

Wówczas jeden z nich, Arnold Winkelried, zawołał: „Bracia nie rozpaczajcie! Polecam wam żonę i dzieci! Idźcie za mną, ja wam drogę otworzę!” Poskoczył i porwał innych za sobą. Wszczął się okropny zgłęk i zamieszanie; słychać było tylko łomot młotów i toporów na zbrojach, jęki ofiar rozdzieranych na spisach. Mur wrogów chwilę się trzymał, wreszcie zachwiało—wylom zrobiono! Kto go zrobił? Winkelried. Zagarnął oburącz spis jeżące się kolce, zwarł je w snop i w piersi własnej utopił—otworzył sobą bramę do środka szeregów. Związkowi rzucili się z dzikim impetem; niepodobna było oprzeć się sile ich klina; w walce zapaśnej długie spisy zawadzały, zamknięte zbroje dusiły, rycerze i knechty padali pod razami młotów i rohatyn. Związkowi zwyciężyli. Książę Leopold padł obok innych tysiąca.

Tego to zwycięstwa pięćsetny jubileusz obchodziła w r. z. Szwajcaryja; było ono kamieniem węgielnym jej wolności. Lud pyszni się nim jak Termopilami — Winkelried to Leonidas szwajcarski.

Niema chyba ludu, któryby bardziej przywiązany był do tradycji narodowych, jak ten pracowity lud górali alpejskich. Nie troszcząc się o uczonych, podających w wątpliwość istnienie tej lub innej postaci ludowej, autentyczność tej lub innej tradycyi, przechowuje pobożnie pamięć swych bohaterów, ma niezachwianą w nich wiarę. W tych górach jeszcze znaleźć

można zakątek, w którym lud pielęgnuje obyczaj związany z jakimś starodawnym wspomnieniem.

Kiedy kilka lat temu byłem w jednej zaprzepaszczonej w górach wiosce koło Soloturny, ujrzałem w niedzielę między wychodzącymi z kościoła starca przybranego w malowniczy kostium średniowieczny. Zdziwiłem się bardziej jeszcze, gdy na widok jego wszyscy wieśniacy obnażyli głowy. Co to ma znaczyć? spytałem. „To honorowy strój Hansa Rotha”, odpowiedziano.

Aby to zrozumieć, trzeba wspomnieniami cofnąć się bardzo daleko. W noc świętego Mikołaja roku 1382 miasto Soloturna miało stać się pastwą rabunku możnego domu hrabiów Kyburgów; zamiar ten podsłuchiwał Hans Roth, prosty chłop nocujący w gospodzie, w której biesiadowali rycerze hrabiego. Spostrzegli go i kazali mu złożyć przysięgę, że nie piśnie słówkiem przed nikim co słyszał. Roth przywiązawszy na wywrót sandały, by nie zdradzić śladów swych na śniegu, pobiegł duchem do bramy miasta. Przy budce strażnika stał w niszy kamienny posąg świętego Ursa, patrona miasta; Roth kląkł przed posągiem i opowiedział świętemu zamiar rabunku. Strażnik, który to usłyszał, zadzwonił na gwałt, obywatele pochwycili za broń i napad szczęśliwie odparli.

Roth otrzymał w darze strój honorowy, w którym podczas każdej uroczystości występował. Przechodziło to z ojca na syna. Gdy ród jego wygasł, szatę honorową przyznawano najsędziwшему starcowi z wsi jego. I zwyczaj ten przez pięć wieków przechował się po dziś dzień!

Uczeni badacze mają innego rodzaju wspomnienia, bez rumieńca, bez serca, tylko pełne popiołów i skorup—to archeologia. W ostatnich czasach najwięcej wykopali z ziemi skarbów naukowych Schliman, Masperra i małżonkowie Dieulafoy. Stara Troja przestała być mytem, mamy fotografowane oblicza faraonów zgasłych przed trzydziestu wiekami, pałace Artakserksesów i Daryuszów nie posiadają już dla nas tajemnic.

Ciężką była wyprawa małżonków Dieulafoy na Wschód, do krajów opromienionych urokiem tradycyi biblijnej i dziejów grecko-perskich, przedsięwzięta w celu odnalezienia śladów zamarłej cywilizacyi.

„Pomimo prawdziwej rozkoszy, pisze pani Dieulafoy, ja-kięj doznawałam, oglądając pomniki dawniej Persyi, marząc pod jej niebem gwiazdzistém, lśnięcém jak srebrna kopuła, podziwiając jej gaje platanów i pomarańcz, jej lasy palm i granatów, jej pustynie dzikie i urodzajne równiny, nie życzę największemu wrogowi, aby zła gwiazda zaniosła go kiedy do Farsu, Kurdystanu lub nad przeklęte brzegi Karunu, na tę ziemię wybraną tyfusów i gorączek bagnistych.”

Niemalęj trzeba było odwagi, aby we cztery osoby, składające wyprawę, zapuszczać się w te kraje niegościnne, niezdrowe, pełne opryszków, z którymi nieraz potykano się na drodze.

Skoro podróżnicy przybyli do Suzy, oczom ich przedstawiło się wzgórze ziemi i popiołów, kryjące w swém łonie szczątki przeszłości wielkiej. Ten trzydziesto metrowy kopiec jest dziełem wieków, złożyły się na niego gruzy pałaców, wznoszonych tu pokolei i obracanych w perzynę ogniem i mieczem. Despoci perscy, budując gmachy, nie zadawali sobie trudów i kosztów na uprzątanie zgłiszczy dawniejszych; ruiny zrównane służyły za podwaliny nowego pałacu. Budowano go nie z kamienia i materiałów trwałych, jak w Egipcie i Grecyi, lecz z cegieł niewypalonych, suszonych tylko na słońcu.

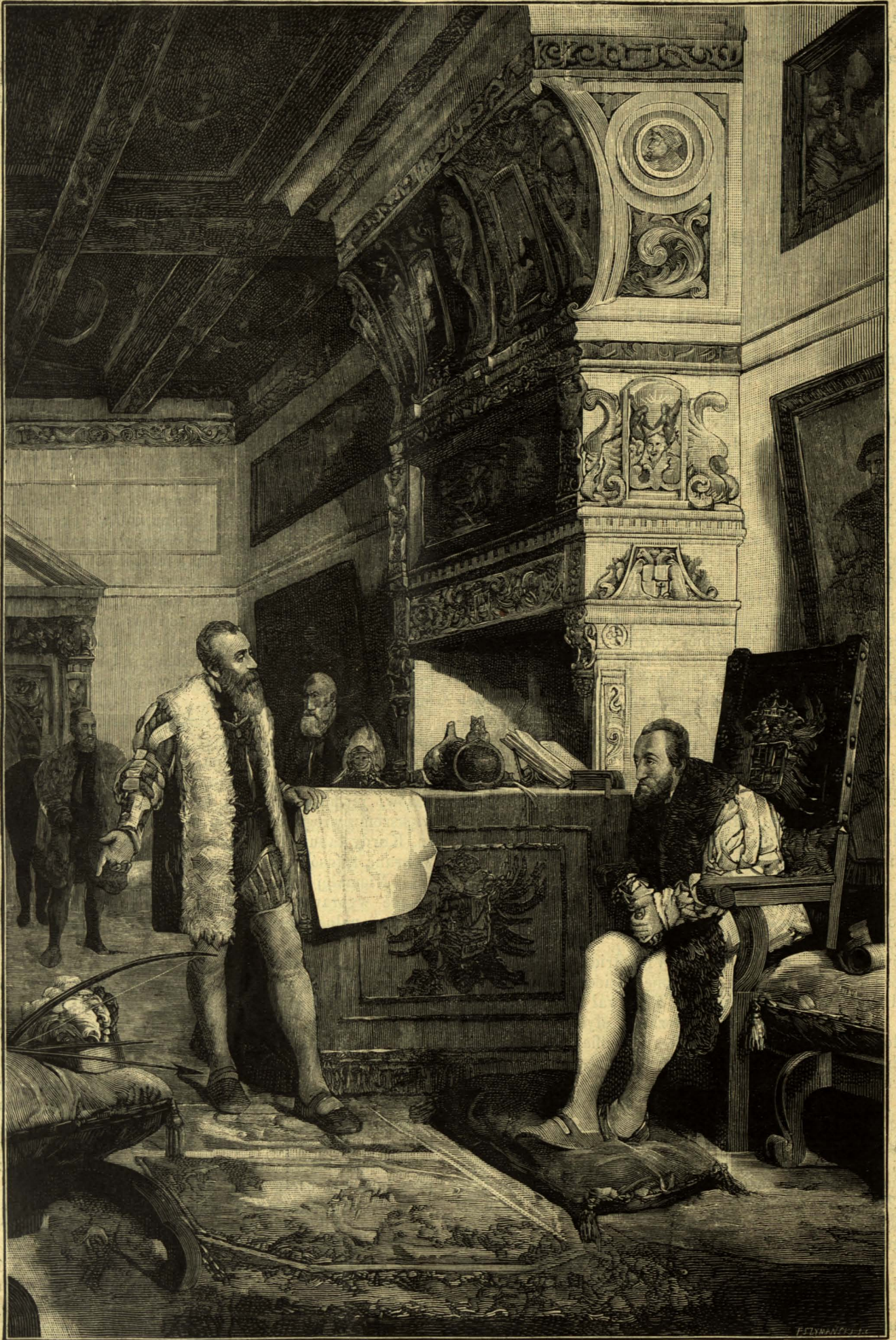
Systemu tego trzymają się persowie do dzisiejszego dnia, przy budowie wielu gmachów.

Miałki te mury, w razie katastrofy kruszyły się i, pod kolejnym wpływem deszczów i gorąca, masa ich urabiała się znowu w glinę.

To właśnie zdarzyło się i z pałacem Suzy a ów kopiec trzydziesto metrowy, po upływie dwudziestu dwóch wieków, zamienił się w masę tak silną i skalistą, iż można było kopać w nim rowy głębokie a nawet galerye podziemne, nie podpierając je niczem.

Jeżeli jednak pałace Suzy zamieniły się w proch, cóż mógł znaleźć w nim Dieulafoy?

Surowe cegły tworzyły wewnętrzną strukturę murów, lecz części zewnętrzne nie pozostały w stanie, jaki miały w pra-



PIZARRO PRZED KAROLEM V.

Obraz A. Litzkana.

W kilka dni potem Balzak potrzebował płaszcza; idzie znów do Sandeau, aby mu go pożyczył.

— Nie mogę w żaden sposób dać ci płaszcza; — mówi Sandeau.

— Dlaczego?

Przyjaciel zarumienił się i stał w milczeniu.

Balzak chciał mu już robić wyrzuty; gdy spotkał posępnego wzrok literata, przypomniał sobie owego luidora i wszystko zrozumiał.

— Przebac mi, złoty chłopcze! — zawołał, rzucając mu się na szyję.

GWAREK.

## RAPTULARZ TYGODNIOWY.

**Zwycięzca** na ostatnim konkursie, wywołanym budową kościoła na Prądze, został p. Dziekoński, budowniczy warszawski. Nie pierwszy to już laur konkursowy spoczął na głowie tego budowniczego, który z talentem łączy benedyktyńską pracowitość i dlatego też zawsze do mety dobiega. P. D. chociaż nie stworzył nowego stylu, jednak dzieła jego różnią się wielce od rzeczy znanych i noszą na sobie cechę samodzielności. Tym razem do zwycięstwa pomógł kościółek Św. Anny w Wilnie, arcydzieło gotyckie; p. D. pożyczył od niego motywów i przeniósł je do projektu w stylu bałtycko-wiślanym. To co wyrosło przed dawnymi laty u stóp gór Ponarskich, przypomni nam się w monumentalnych rozmiarach nad brzegami Wisły, która z kościołem praskim sąsiadować będzie. Komitet budowy, pod prezydencją J. E. Arcybiskupa ks. Popiela, zdecydował rozpoczęcie bezzwłocznie budowy, która ma kosztować 300,000 rs. Dotychczas zebrano na ten cel zaledwie 20,000 rs.—brakuje więc ogromnie wiele, ale rozpoczęcia nie można opóźniać, ponieważ ludność parafii praskiej szybko rośnie. Ten kolosalny na nasze ekonomiczne stosunki niedobór wypełnią ofiary pobożnych ludzi, którym pomoże zapewne jaki większy zapis testamentowy. Trzeba ufać i rozpocząć świątynię, która wieżami swemi przerośnie domy, park, most...; z brzegu warszawskiego widzieć będziemy nowy pomnik religijności naszej.

**Rusztowanie** dokoła kolumny króla Zygmunta, na placu przed Zamkiem w Warszawie, kosztować będzie kilka tysięcy rs. Trzeba się znać na konstrukcyi podobnych rusztowań, do windowania bloków marmurowych, aby ocenić wielki koszt ich budowy. Rusztowanie wznosi miejscowy cieśla p. Bewense; roboty przygotowawcze trwać będą pięć tygodni, poczem rozpocznie się rozbieranie pomnika i spuszczenie jego części na ziemię. Istnieje zamiar umieszczenia czasowego posągu króla Zygmunta na Wystawie Towarzystwa Sztuk Pięknych, za oddzielną opłatą na budowę Muzeum sztuk pięknych. Warto zobaczyć zblizka postać spiżową, która na szczycie wydaje się dla patrzącego z podnóża wysokiej kolumny tak małą, jak statuetki zdobiące prywatne salony. Podobno komitet Wystawy starożytności miał ten sam zamiar; wystawa zyskałaby wielką siłę przyciągającą. Czy jeszcze będzie czas na to?

**Ś. p. d-r Adam Chałupczyński** zasmucił swym zgonem mieszkańców Włocławka i jego okolicy. Był to lekarz zdolny a pełen serca; wykształcony wszechstronnie zajmował się także piórem: „Pomysły do dziejów świata”, „Gawędy ekonomiczno-społeczne” mają ważność naukową. Pracował dla społeczeństwa, którego sam był jedną z najlepszych cząstek. Żalują go przyjaciele a najgłośniej oplakują ubodzy.

**Ś. p. Włodzimierz Krzyżanowski**, generał wojsk Stanów Zjednoczonych, zmarł w Nowym Yorku. Urodził się w Poznaniu r. 1824, wysoko wykształcony jako matematyk, po wyjeździe do Ameryki, ciężką a nieodpowiednią swym zdolnościom pracą zarabiał na utrzymanie. Nastąpiła jednak chwila, że obcy ocenili naukę i dzielność charakteru naszego rodaka; odważny, prawy, zdolny dostąpił zaszczytów wojskowych, posiadał zaufanie prezydenta Lincolna, a lud urządził dzielnemu wodzowi manifestacyjne przyjęcie, kiedy ten na czele swych hufców zwyciężkich wracał z pola bitwy. Idąc po szczyblach zasługi został mianowany generałem, następnie gubernatorem Alabamy, wreszcie znacznym urzędnikiem w ministerium skarbu. Prawość Krzyżanowskiego weszła w przysłowie pomiędzy

amerykaninami. Pozostawił pamiętniki pisane własną ręką po polsku; rodzinnego języka używał w kółku domowym, chociaż był żonaty z amerykanką; z rodakami korespondował także po polsku.

**Pociuszającą wiadomość** podał w tych dniach „Kuryer Poznański”, że przez Toruń przewożono głośnego oszusta warszawskiego Kiersza, schwytanego w Genewie. Niestety, wiadomość znowu się nie sprawdziła. Pogarda dla takich nędzników jak Kiersz jest miarą zdrowia społeczeństwa; kara najsurowsza znalazłaby u nas ogólne potwierdzenie.

**MIECZ i DYPLMACYA.** W spekulacjach giełdowych na obniżkę rubla — podług twierdzenia „Birżewych Wiedomości” — przyjmują udział wyższe sfery rządowe niemieckie. Każde nowe hasło niepokojące jest wydawane agentom giełdowym, związanym ściśle tajemnicą z rządem, przedtem nim dojdzie do wiadomości dzienników. Tym sposobem ajenci urządzają zwyżkę lub zniżkę rubla zawczasu a zawsze z korzyścią osób, które z nieszczęść narodu potrafią ciągnąć korzyści osobiste. Taż gazeta pewną jest, że istnieje jakaś „maska żelazna”, która agentom wydaje dziś hasło jutrzejsze — tą maską ma być ktoś bardzo znakomity.

Jeżeli kanclerz złoży kiedyś swój urząd, to weźmie się może do rysowania karykatur, bo do tego posiada niezaprzeczonego talent; — przyznają mu to pisma humorystyczne niemieckie. Rzeczywiście, czyż może być genialniejsza karykatura pokoju, o jakim kanclerz aż do znudzenia prawi, jak ów anioł z różczką oliwną, na której listkach wypisana jest groźba: „Znajdujemy się w przededniu ciężkich zapasów z wewnętrznymi i zewnętrznymi wrogami, więc bądźmy gotowi i głosujmy za podwyższeniem budżetu o 172 miliony marek na nowe twierdze, bomby, armaty i tym podobne gwarancje pokojowe...”

**Za prowokacją zbyt jaskrawą** jest uważany toast konsula angielskiego w Filipopolu, na ucztę wydaną dla rejentów Stambuła i Mutkarowa. Angielski reprezentant, więc odpowiedzialny za każde słowo publicznie wygłoszone, zachęcał bułgarów do wierności rejency, do trwania w dotychczasowej polityce oporu, jeśli chcą zapewnić niezawisłość trzymilionowemu państwu bułgarskiemu.

**Ambicya ks. Bismarka** daleko go unosi: do laurów wojennych chce dołączyć laury reformatora religii. W mowach swoich, jakie obecnie wyrzuca na trybunie parlamentarnej, ostro strofuje protestantów zachowujących ściśle zasady Lutra i nazywa ich odszczepieńcami kościoła państwowego, którego najwyższą głową jest król pruski. Ambicya połączona z zuchwałością dalej jeszcze zaszła, zadając od Papieża usług politycznych w interesie Niemiec, aby jaknaprędzej wytepić ducha patriotycznego w Alzacyi i Lotaryngii. Kanclerz starał się przez swego ministra Puttkamera o to poparcie; nie trzeba mówić, że nie nie wskórał. Ojciec święty ma misję chronić pod swe skrzydła wierne sobie ludy z tém wszystkiem, co stanowi ich życie, więc z językiem, tradycją, nadziejami; bez tych skarbów, ramię człowieka grzesznego byłoby zasłabe do dźwigania krzyża Chrystusowego.

**W Prusach tylko jeden krok naprzód** do trucizny i sztyletu, jeżeli jakaś nemezys nie powstrzyma zuchwalstwa krzyżackiego. Organa pruskie bez ceremonii przyznają, że podstępne areztowanie komisarza francuzkiego Schnaebelgo było doskonałe ułożone; zdradzieckie zwabienie urzędnika państwa sąsiedniego, niby na rozmowę przyjacielską, a następnie pochwyccenie go w bójce, na terytorium francuzkiem, okucie w kajdany i odstawienie jak opryszka do więzienia — wysławiają, jako czyn mądrości państwowej, która czuwa nad bezpieczeństwem monarchii. To bezpieczeństwo jutro usprawiedliwi skryte zaszytowanie mniemanego wroga, w wagonie kolei lub w teatrze, a pojutrze może być nakazany najazd na całą rodzinę i wzięcie jej w jasyr. Tak było przed wiekami; więc historia się powtarza.

**Jeden przyjaciel mniéj.** Bomby melitynowe — jeśli wierzyć można niemieckim dziennikom — okazały się przyrządami bezpożytecznymi. Francuzi przekonawszy się o „waryactwie” tych nowych beniaminków wojennych, kazali zniszczyć cały zapas bomb, po licznych doświadczeniach w Belforcie.